

Jerzy Sulima-Kamiński

W. Sulima-Kamiński
BIAŁOCIECH

zawolał się
na wygnanie

nr M-F

16. IV 69 Jm
Jak mi się żyje

(fragment)

17. IV. 69,
godz. 16⁴⁰ 17⁰⁰

Bo obecnie, dziadzio Jaś spoczywa już w ciemnym grobie,
a babcia Jasiowa jęczy za ścianą i prosi Boga o miłosierdzie.
Nierychliwie, w końcu jednak doczeka się znikowania. Wtedy dusza
babci Jasiowej, uzbrojona w żelazny glejt dobrych uczynków
(Julczyny zapiekany ryż z jabłkami będzie tu, zdaje się, argumen-
tem wielce znaczącym) wzniesie się cicho jak zapomniany balonik,
przesączy przez stropy kamienicy i jak uwolniona z kotwicy,
pomknie lekko i zwiewnie w zaświaty, by wejść na swoją wieczną,
zaziemską orbitę.

Ale zanim to nastąpi, babcia Jasiowa będzie musiała połknąć
jeszcze niejedną gorzką pigułkę i wylać niejedną łzę w powłoczkę
zapoconej poduszki. A wszystko to przez kierownika sklepu
tekstylnego i jego pięcioosobową rodzinę, której bardzo by się
przydał pokój babci Jasiowej. Albo i mój pokój. A najlepiej
i jeden i drugi.

Chodzą do niej, do pokoju, z dobrymi radami, poprawiają
pierzynę i przy okazji wymierzają krokami przestrzeń wzdłuż
i **wszerz**. Dokładnie: osiemnaście metrów kwadratowych!

Teraz, kiedy życie babci Jasiowej można szacować na dni lub godziny, ich troskliwość dla umierającej przybiera wrzuszające objawy.

Krzążają się wokół ^{babci} niej ze zdwojoną ruchliwością i nie dopuszczają do niej nikogo, prócz swoich - z wyjątkiem sąsiadki nauczycielki, wykonującej przy chorej najgrubsze posługi. Wraz z kompotami, przynoszą jej słowa chrześcijańskiej pociechy, a przy okazji także swoje, co lżejsze meble. Przed drzwiami do pokoju babci czekają rolki nowej tapety.

Którejś nocy zadzwoniła do mnie Gaba. Zaraz mnie tknęło, że coś jest nie w porządku. Dmuchała w słuchawkę, a ja cierpliwie czekałem na to, co miało nastąpić. Naraz zaczęła mówić długo i o niczym i to mnie najbardziej zaniepokoiło. Gaba nie należy do tych, które jeżdżą do Rzymu przez Krym, od razu mówią co mają na sercu, i nie patyczkują się. Były jakieś tam: a pamiętasz, ty... A na prywatce, wtedy... (tak, to na prywatce pamiętam!) I jak mnie raz odprowadzałeś do domu, to ci mówiłam, przypominasz sobie co ci opowiadałam? (Setki razy odprowadzałem Gabę do domu). A przed miesiącem mówiłam, że jadę do ciotki, a ja wcale nie pojechałam do ciotki, pojechałam zupełnie gdzie indziej... i zdaje się, że na pewno jestem w ciąży!

- Mój Boże! - ścięło mnie.

- Dlaczego mówisz: "Mój Boże"?

- Bo mam wrażenie, że się pode mną zapada podłoga, że razem z tapczanem ląduję na parterze, to jest o trzy piętra niżej.

- Co teraz?

- Nie wiem...

- Ratuuj!

Nieraz już występowałem wobec niej w charakterze stacji pogotowia. Przeważnie chodziło o drobne pożyczki, o usmażenie jajeczniczy podczas grypy, albo też, kiedy miała chandrę, dzwoniła po mnie, bo we dwie chandry weselej niż w jedną.

Ale to, co ją teraz spotkało! Nawet jęki babci Jasiowej zeszły w mojej świadomości na drugi plan. Muszę Gabie pomóc. Muszę, chociaż nie wiem, słowo daję że nie wiem, jak się do tego zabrać. W każdym razie uczynię wszystko, by ją wyciągnąć z pułapki. I tak jestem jej dłużnikiem.

Bo było raz tak, że gdyby nie ona, to skoczyłbym z mostu do rzeki albo tłukłbym łbem o szafę.

Na tej prywatce właśnie, była dla mnie taka dobra. Kazik też tam był, (~~Kazik! O nim osobno~~), i taka jedna dziewczyna, bez której przez pięć długich lat żyłem jak pod wodą bez powietrza. I ta dziewczyna, na tej prywatce, usiadła Kazikowi na kolanach i pozwalała się głaskać, a mnie ~~był~~ nie było wolno ~~ją~~ głaskać,

77

ja mogłem tylko patrzeć, i patrzałem, patrzałem, a w pokoju stała taka wielka szafa gdańska, twarde drewno dębowe, rzeźbione, i wstałem i rozpędziłem się i chciałem w tę gdańską szafę, w narożnik, gdzie kariatyda czy taki gzymś, już nie wiem, chciałem tak zwyczajnie, po prostu, łbem tryknąć. Wtedy Gaba ten mój głupi łeb do siebie przygarneła i było mi dobrze i już mnie ta szafa gdańska przestała obchodzić.

Więc postanowiłem, że jak coś rozsądnego wymyślę, jakieś mądre wyjście znajdę, zaraz do niej zadzwonię, choćby i nad samym ranem, obojętnie o której godzinie, godzina nie odgrywa żadnej roli.

Co mogę dla niej, biednej, dla Gaby, uczynić, skoro sam ledwie o własnych siłach pcham się przez życie, czasami ślizgam się, ale do czasu, aż się na mnie poznają. Potem do kogo się udam? Kto mi rękę poda? Kto z topieli wyciągnie? Kromkę chleba poda? Ona jedna chyba, Gaba... Toteż dla niej wszystko, wszystko...

Za drzwiami coraz ciszej. Babcia Jasiowa coś tam mamle, jakieś pretensje do świata wnosi, żale wypłakuje, ale już spokojniej, nie tak trzeźwo, nie tak głośno, bardziej prywatnie, bardziej "w sobie". Zaraz świt; niedługo zaśnie.

Teraz już wiem co zrobię! Do fagasa pójde, za klapy go złapię,

potrząsnę jak wisiołem i powiem: Taką dziewczynę... zmarnować!
Żajdaku, tobie owce sromocić, pszczoły nadymać, nie czepiać się
porządnych kobiet! - I dam mu, z lewej, z prawej, z wierzchu i
od spodu, niech sobie zapamięta! I jeszcze mu powiem: pod nóż jej
nie dam, nie będą z niej mięsa wrywać, sam wezmę i wychowam!
I wykarmię i przysposobię! A ona, jak zechce, może być z nami.
I znaczki zaabonuję u filatelistów, żeby miał, jak dorośnie!

Zadzwońnię do Gaby:

- Czy to będzie chłopiec czy dziewczynka?

- Idioto, ja nie wiem... - ziewnęła i odłożyła słuchawkę.

Wstałem, chcąc napić się w kuchni zimnej wody. Kiedy otwierałem
drzwi, w korytarzu dały się słyszeć jakieś szurze, umykające
szurgoty. Ktoś z tych tekstylnych kucak pod progiem pokoju babci
Jasiowej_xi nasłuchiwał. Ale babcia Jasiowa przecież jeszcze nie
umarła! Po raz pierwszy w życiu doznałem prawdziwej przyjemności
z czyjejs przedłużającej się męki.

A w kuchni, z głową na ceracie, Julka drzemała. Napiłem się
wody z kranu, obtarłem usta i przysunąłem taboret do stołu.

Oparłem się łokciami o blat, i tak do śpiącej się odezwałem:

- Ja bym cię, mała, i wziął do siebie, ja bym ci, maleńka, mógł
pomóc, ja bym i kupił coś na nóżki, na pupkę, książkę jakąś do

szkoły czy co, ale widzisz, rodzina mi się powiększa, odpowiedzialność wzrasta, a środki wciąż te same. Jedyne co naprawdę mogę dla ciebie zrobić, to podrzemać tutaj, z tobą, na tym stole, w kuchni, do rana.

Rano, główna tekstylna szastała garnkami po gazowej kuchence, a kiedy szła do spiżarni z patelnią, omal nie wytrąciła spode mnie taboretu.

- Czy to aby nie za wiele z czyjejs kuchni knajpę robić!

- Dziecku taki przykład dawać!

Nalała na spodek ciepłego mleka. Julka dygnęła i powiedziała: dziękuję.

A ja wyszedłem.

Odtąd nie było godziny bez Gabrysi. Dnie całe spędzałem na tapczanie i zastanawiałem się, jak to będzie ładnie kiedy znajdziemy się tutaj we troje, w tym pokoju z koronowanym piecem, solidnym parkietem i wnękami drzwi przerobionymi na półki.

- Coś trzebaby tu zmienić w pokoju, coś poprzestawiać, coś wyrzucić a coś dodać... Przemalować ściany, z tym, że sufit na niebiesko. Niebieski sufit w złote gwiazdki! Oczywiście.

Oseski leżą całymi miesiącami na pleckach, niech sobie popatrzy na błękitny firmament, niech się uwrażliwia, może zostanie poetą /tką/? lub przynajmniej bibliotekarzem.

W każdym razie humanistą, albo kolejarzem, tak jak dziadzio Jaś. Nigdy jednak kierownikiem sklepu tekstylnego. Nie dam, nie pozwolę! A bez zasłon to się już tutaj nie obejdzie. Będą zasłony takie na sznurkach: pociągniesz za jeden sznurek, to się zasłoni. Pociągniesz za drugi, zrobi się jasno. A na tych sznurkach, zamiast supłów, będą dyndały takie dzwonki krowie, płasko udeptane, z Cepelii, i będą dzwoniły i będą oryginalnie.

Będę potrzebować dużo pieniędzy! Poza tym muszę zostać w domu, chcę przyłapać tekstylnych na jeszcze jednym święństwie. Mówiła mi sąsiadka, ta stara nauczycielka, od której wiem wszystko o papieskim szambelanie, że znalazła na pościeli babci Jasiowej płaty odwalonego tynku. Podobno ktoś z tych sukienników wbija od strony swego mieszkania haki w ścianę. Walenie młotkiem w mur okazało się jednym z bardziej skutecznych sposobów wyprawiania babci Jasiowej w zaświaty. Dopala się w tempie widocznym dla każdego. Czekam tylko na pierwsze uderzenie młotkiem...

Tymczasem dzwoni Justyna. Ma zmartwienie z powodu Pipetki. Pudlica gzi się, dywany gryzie i skamle pode drzwiami. Gorzej: zdezerterowała i szukaj wiatru w polu! - Ty wiesz, Pipetka, - sam sex, "das ewig Weibliche". Ale te konsekwencje!

- Jestem prawdziwie przejęty losem suczki, Justyno. - Musisz ją koniecznie odnaleźć. Takie delikatne zwierzę, zmarnuje się. Rób co tylko możesz, żeby ją odnaleźć...

- Dlatego dzwonię do ciebie.

- Ah... tak...

- Niech twoja gazeta zamieści ogłoszenie, zadzwoń na Milicję, do radia i telewizji, gdzie się da!

- Oczywiście...

- I przyjdź ty do mnie jutro po kolacji, strój wieczorowy; będzie u ~~ma~~ Nelson!

- Justyno, ty ciągle jeszcze z tymi duchami...?

- Napisałam nową piosenkę. Posłuchaj, zaśpiewam ci ją przez telefon...

- U mnie za ścianą, Justyno, babcia Jasiowa...

- Pozdrów ją ode mnie. Wobec tego powołam się na ciebie.

- W jakim sensie?

- Powiem wszystkim, że zaśpiewałam i że byłeś zachwycony.

- Zgadza się, w porządku. Tylko dlaczego akurat ten Nelson?

Dotąd wołałaś Kleopatrze albo Mickiewicza...

- Duraczku, ty. We wszystkim podstęp wieszysz. A to takie proste:

Chcę go zapytać jak się przyrządza prawdziwe zrazy po nelsonsku!

- Licz na mnie - powiedziałem.

Natychmiast zacząłem działać. Rozdzwoniłem się do wszystkich redakcji, nie wyłączając mojej własnej, i opowiedziałem redaktorom jak się przedstawia sprawa z Pipetką. Powiedzieli, że zobaczą co się da zrobić i żebym się nie gorączkował. Potem zadzwoniłem do rakarni, do instytutu immunologicznego i do kuśnierzy. Wszędzie podawałem dokładny rysopis Pipetki, może tylko nieco wyidealizowany bo jakoś nigdy nie potrafię wyzwolić się całkowicie spod władzy subiektywnych odczuć, kosztem, oczywiście - poprawnego obrazu rzeczywistości. Ale w przypadku Pipetki było to nawet korzystne. Nieskazitelny portret, jaki rysowałem swoim rozmówcom, nastrojał ich do suczki przychylniej. Stosowałem różne chwytty psychologiczne i taktyczne wybiegi, gdyż naprawdę zależało mi na życiu Pipetki. W finale każdej rozmowy, podawałem numer swego telefonu i sugerowałem, że wprowadzicie moje nazwisko nic im nie mówi, ale że kiedy zechcę, to umiem być g r o ź n y !

Niezależnie od tak przygotowanej akcji, postanowiłem na własną rękę szukać Pipetki. W tym celu wyszedłem w nocy do miasta, w nadziei, że spotkam ją w parku czy na jakimś skwerze, baraszkująca z kolegami. Spacer łączył w sobie piękne z pożytecznym, gdyż rozglądając się za Pipetką, rozmyślałem jednocześnie o zmartwieniu

Gabrysi, o życiu Julki i o cierpieniach babci Jasiowej. Nie dawała mi też spokoju szafa, zbyt prymitywna i niemodna. W czymś takim mają wisieć delikatne łaszki Gabrysi, jej pachnące halki i koszulki, zakopiański kożuszek i czapka-uszatka, także z baranka? Urżnę te pupki i galeryjkę, listwy odrąbię, a całość zapędzuję na biało emalią nitro - szafa zacznie wreszcie być szafą, a nie fortecą z Disneylandu, jak dotąd. Niepokoił mnie też ten Nelson...

Naturalnie, jestem materialistą! Ale Justyna, jak się uweźmie...

Ona umie być zaskakująca, no i ma szerokie wpływy... W każdym razie gdyby Nelson jednak, u Justyny... Byłby to dla mnie poważny kryzys ideologiczny, mógłbym się wyalienować, a nawet napisać wiersz w duchu: Patrice de la tour du Pin.

Dużo myślałem o tym wszystkim. Nogi mnie już bolały, więc przystanąłem na moście. Oparty o balustradę, plułem z mostu do rzeki. Bez satysfakcji: plułem pod prąd i nic nie widziałem. Powinienem przejść na drugą stronę mostu, byłoby z prądem i mógłbym oszacować wartość wody. Chociaż kto wie... było ciemno. Było tak ciemno, że nie widziałem zbliżającej się osoby.

- Daj pan ognia, co?

- Chętnie, proszę pani...

- Szczęścia pan szukasz daleko, a szczęście tu...

- Szukam Pipetki.

- Mam.

- Dziecko... - Przyjrzałem się z bliska dziewczynie. Była to bardzo młoda dziewczyna o bardzo starym wyglądzie i nie wiem dlaczego, ale zrobiło mi się jej żal. - Szukam suczki, Pipetki, co odbiegła swoją panią i tuła się teraz bezdomnie po mieście.

- No to szukajmy razem - chwyciła mnie za łokieć.

Poszliśmy, a ja opisywałem Pipetkę, trochę koloryzując, a trochę nie. A później spytałem, czy nie wie, gdzie znajduje się w naszym mieście Związek Filatelistów?

Nie wiedziała.

No to usiedliśmy na stopniach katedry, by się zastanowić, gdzie też ten Związek Filatelistów może być.

- Ja myślę, że to gdzieś tutaj, blisko - powiedziała.

- Przeważnie jak czegoś szukamy, to daleko, a to jest blisko.

Znam to z życia.

- Jeśli już mówimy o życiu - napomknąłem nieśmiało, - to pozwól, że zarecytuję ci mój najnowszy wiersz.

I zarecytowałem. A był on, ten mój nowy wiersz, o księżycu. To znaczy o tym, że księżyc teraz już nie ten co dawniej. Że ~~dawniej~~ dawniej kochankowie wzdychali do księżycy i że był on tajemniczy,

bardzo ładny i że pięknie świecił. I że teraz, owszem, też pięknie świeci, ale nie ma po co do niego wdychać, bo ludzie strzelają do księżyca raketami, bombardują różnymi falami i że wkrótce na nim wylądują. I że jeszcze trochę, a w ogóle nie będzie do czego wdychać.

- Bardzo ładny wiersz - pochwaliła dziewczyna. - Czuję, że się zaraz spłaczę, a nie mam lusterka i rzęsy mi się odkleją, ty to zrozumiesz. Poza tym jest mi zimno na tych kamieniach i boję się, że dostanę wilka.

- Już odchodzisz?

- Co robić, kochany...

- Ale o Pipetce pamiętaj!

Z kosza na śmieci, co był pod latarnią, wyjęła ogryzek jabłka i rzuciła nim we mnie. Ale nie trafiła. Ogryzek utknął w fałdach szaty świętego Bonawentury, drzemiącego w niszy katedry.

Odchodziła z głośnym śmiechem, a kiedy była już na drugiej stronie ulicy, na tle różowego neonu sklepu z damską bielizną, zaczęła wydziwiać. To jest: wyrzuciła ręce w bok, machała nimi i kuczała, szeroko rozstawiając kolana, jak pajac pociągany za sznurek, Może chciała dać mi do zrozumienia, że trzeba być prawdziwym pajacem, żeby odejść ode mnie? A może, to ja... że ja...?

A Pipetki jak nie było, tak nie było.

Pipetka, ta pieska sierotka, musi zostać uratowana. Czy to już wszystko co mogę dla nie zrobić? Nie! Pozostał jeszcze związek krótkofalowców. Ich SOS obiegnie cały świat. Na całym świecie będą szukać Pipetki, bo może jakiś kurier dyplomatyczny, jakiegoś nieprzyjaznego państwa, do tego znawca, kynologiczny ekspert, uprowadził był suezkę w swoim nietykalnym kuferku?

Wykręciłem numer Justyny.

- Chyba śpisz, co...?
- A co mam robić o tej porze?
- Tak mi nieprzyjemnie, Justyno. Przysięgam, robię co mogę...
- Co robisz?
- No, szukam!
- Nie wrzeszcz tak, Konrada zbudzisz.
- To on tak chrapie?
- A kto.
- Przepraszam...
- Jak już dzwonisz, to weź papier i ołówek...
- Ja z budki.
- To w budce nie ma papieru?
- Nie.

- Po diabła dzwonisz? Chciałam ci dać ten przepis na zrazy...

- Naprawdę był u ciebie Nelson?!

- Nelson? A wyobraź sobie... wyobraź, że nie! Ale kupiłam

"Kuchnię Polską". Notuj.

- Justyno, ja nie w tej sprawie... Ja całe miasto na nogi postawiłam...

- Bój się Boga, całe miasto?

- No, dla Pipetki?

- Co, dla Pipetki?

- Przecież zginęła, do cholery!

- Pipetka...?

- Mówiłaś...

- Ja...? Ach, wtedy...! Człowieku, ona się znalazła... tego samego dnia... Teraz mi nerki grzeje!

- Kamień z serca - pomyślałam - znalazła się, lepiej być nie może.-

Postanowiłam być wesoły. Zatrzymałam się przed sklepem z cukierkami i w lustrze witryny stroiłam różne miny, żeby wiedzieć, która jest najweselsza. Żadna nie wydała mi się dosyć wesoła na okoliczność cudownego odnalezienia Pipetki. Dlatego też dopomagałam sobie językiem, to jest, starałam się czubkiem języka dosięgnąć

koniec nosa, a najśmieszniejsze w tym było, że nos był za wysoko a język za krótki i dopiero kiedy nacisnąłem palcem na nos, czubek się obniżył i dotknąłem. To już było coś, ale jeszcze za mało na tyle radości, ciągle jakoś czułem się niedoweselony. W nadziei, że się doweselę, przyłożyłem dłonie do uszu i kiwałem palcami, a to wyglądało w lustrze, jakbym wachlował się uszami słonia, zabawne było, chociaż mogło być zabawniej. Jeszcze zrobiłem zeza, zbieżnego i rozbieżnego i też patrzyłem i wszystko razem było jakby nawet komiczne, gdyby nie to sine, fatalnie nietwarzowe światło, niech je diabli... te świetlówki...!

A u nas w domu, ludzie nie spali. Babcia Jasiowa leżała w korytarzu na materacu, cała przykryta białym prześcieradłem. Jej żelazne łóżko, rozebrane na części, podpierało ściany, a stara komoda, w której dziadzio Jaś trzymał swoje medale i pamiątki z wojny, tarasowała drzwi do mojego pokoju. Na stole, też pod ścianą, stał nocny stolik, a na nim miednica, z której wystawały stare kapcie babci Jasiowej z bezczelnie wywalonymi jęzorami i poplątanymi sznurowadłami. Sąsiadka, nauczycielka, siedziała na zydelku, obok materaca, z Julką na kolanach.

- Oni już tam są - ruchem głowy wskazała na pokój babci Jasiowej. - Nie dała im rady...